

# TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N<sup>o</sup> 202.

Prenumerata w Warszawie:  
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 8 sierpnia 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:  
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3  
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VIII.

## TREŚĆ NUMERU.

Franciszek Bohomolec (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Do redakcyi Tygodnika Ilustrowanego (z trzema drzeworytami). — Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego (dokończenie). — Puszcza Białowieńska i żubry (dalszy ciąg). — Kościół św. Stefana i klasztor maryawitek w Wilnie (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus.

## Franciszek Bohomolec.

W rządzie uczonych, którymi szczyliło się panowanie Stanisława Poniatowskiego, Bohomolec nieposlednie zajmuje miejsce.

Pochlebcy dworu, których nigdy i nigdzie nie braknie, nazwali czasy te wiekiem odrodzenia się literatury. Spółcześni, uwiedzeni wierszowaniami panegirykami Naruszewicza, a blizkiemi nikczemnościami Trembeckiego i wielu innych, patrząc jak król zapraszał na zamek uczonych ludzi, lubił się nimi otaczać i smakował w ich towarzystwie, uwierzyli temu hasłu. Tymczasem bliżej badając, widzimy że prócz Naruszewicza, któremu rzeczywiście monarsza dał pomoc do napisania dziejów narodu polskiego, i Trembeckiego mianowanego szambelanem, żaden z pisarzy ówczesnych nie miał od króla rzeczywistej pomocy.

Przy końcu panowania Augusta III ruch umysłowy żywo dał się uczuć w narodzie; przesady i ciemnota zwołna ustępowały; prace wielkie a zacne Konarskiego już wydały owoce. Mąż ten czcigodny, kiedy Poniatowski wstępował na tron, liczył lat 64 wieku, a sławne swoje dzieło: „O skutecznym rad sposobie,” na lat kilka przedtem wydał. W chwili koronacyi Stanisława Augusta, najznakomitsi pisarze byli już w wieku dojrzałym, w pełni talentu i nauki.

Krasicki liczył lat 30, Naruszewicz 31, Trembecki około 40, Albertrandy 33, Karpicki 21, Piramowicz 29, tyleż Kopczyński, Waga Teodor 26, Wyrwicz 47, Ładowski 26, Kluk 25, nasz Bohomolec 44. Byli to ludzie już wykształceni, ludzie nowych czasów, pracownicy i rozkrzewiciele myśli postępowych.

Miał więc król gotowe ozdoby do swoich uczonych czwartkowych obiadów, w których brał udział poczesny i Franciszek Bohomolec.

Kiedy Stanisław Poniatowski nie marzył jeszcze o koronie, Bohomolec pismami swemi, przed pojawieniem się Krasickiego, najwięcej wpływał na opinię publiczną i wiódł ją do celów szlacheckich; wykonał wiele szkodliwych przesądów, rozbudził na-

ród ze zgubnego snu letargicznego i wpłynął na ogładę i czystość języka.

Urodzony z zacnej i możnej rodziny w dawnym województwie witebskiem, d. 29 stycznia 1720 r., w 18 roku życia wstąpił w Wilnie do zakonu jezuitów. Skończywszy nauki w akademii wileńskiej, a potem w Rzymie zwykle zakonowi swemu ćwiczenia, był nauczycielem w akademii wileńskiej, później w warszawskiem collegium nobilium; w ostatku przełożonym drukarni tegoż collegium.

knę, Stanisław August mianował go konsyliarzem królewskim.

W każdej gałęzi literatury spotykamy Bohomoleca jako użytecznego i wytrwałego pracownika.

Kiedy Konarski, rozmyślając o wielkiej reformie narodu, zaczął ją od poprawy w wychowaniu młodzieży zamożniejszych domów polskich, a założywszy collegium nobilium, zwracał młode pokolenie na pole literatury, tłumacząc dramata z francuzkiego, lub pisując oryginalne, które przedstawiano w umyślnie urządzonym w gmachach szkolnych teatrze, jezuitci, którzy śledzili pilnie każdy krok Konarskiego na drodze wychowania publicznego, nie dali się ubiedz i zaczęli go w tém nasładować.

Był w kolegiach jezuitckich oddawna zwyczaj przedstawiania dyalogów i tragedyi, zwykle treści pobożnej, pozbawionych wyższej myśli i celu.

Bohomolec, wtedy professor, zaczął pisywać komedye, dzieląc wszakże skrupuły braci w zakonie, mężkami je wyłącznie wypełniał rolami i ogłosił drukiem r. 1750. Gdy jednakże, lepiej wyjrawszy z celi jezuitckiej, spostrzegł że komedye jego pozbawione były zajęcia i prawdy dramatycznej, a przez to za murami collegium stały się nieużytecznymi, wprowadził i kobiety. Pierwszy w te czasy po Konarskim Bohomolec, co studjował literaturę francuzką i Moliera dał poznać scenie jezuitckiej. Żywy dowcip, żart przystojny, przy czystym na ten okres języku, cechuje te utwory. W pierwszych znać zakonnik z pleśnią klasztorną, z brakiem praktycznego obycia i znajomości ludzi; w późniejszych widać że lepiej świat i społeczność swą zbadał, a wiele typów pochwyconych z życiem ze współczesnego koła i dziś nas zajmować może. (1)

We dwadzieścia sześć lat po pierwszym wydaniu swych komedyi, wydał Bohomolec operę p. n. *Nędza uszczęśliwiona*. Maciej Kamiński napisał do niej muzykę i to jest pierwsza polska opera, która na naszym ukazała się teatrze. (2)

Szlachetną tu myślą był powodowany; gdy bowiem w r. 1777 pierwszy raz na scenie naszej ukazała się opera włoska seryo, zapal publiczności do tego rodzaju widowisk wzrósł do najwyższego stopnia. Opery polskiej nie było; do Nędzy uszczęśliwionej muzy-

(1) Pierwsze wydanie komedyi Bohomoleca wyszło w roku 1750; drugie w Lublinie 1757 w trzech tomikach; trzecie w Lwowie 1758; czwarte i ostatnie w Warszawie w 5 tomach 1772—1775.

(2) Operę tę wydał Bohomolec bezimiennie, w Warszawie u Diufura 1778 r. w 8ce.



Ks. FRANCISZEK BOHOMOLEC. (Podług litografii Mintra).

Zakon jezuitcki, tak głośny w dziejach naszych, począł wtedy potrosze otrząsać się z fanatyzmu i ciemnoty i rozbudzać do nowego życia; duch nowych czasów, nowych idei, zaczął go ożywiać, — gdy grom Watykanu rozbił tych *janczarów rzymskich*, jak dobrze Naruszewicz, sam jezuita, jezuitów nazywał. Po zniesieniu zakonu, gdy Bohomolec zrzucił jego su-

kę z melodyj narodowych ułożył Kamiński i wyuczyszy artystów, „wystawił pierwszą operę polską, cudo, jak naówczas wszystkich zadziwiająca, cudziemcom lękającym się wzrostu tej sztuki niemiłe, a rodakom mocno upodobane,” pisze Wojciech Bogusławski w dziejach teatru.

Śpiew ubogiej matki, taniec polski i pieśń „*Nigdy jak dzisiaj nie czułem rozkoszy*,” wprędce nietylko w Warszawie, ale i w całym kraju były ulubione. W domach staropolskich przetrwały one do r. 1815.

Po wydaniu komedji, ogłosił Bohomolec w r. 1758 „*Rozmowy o języku polskim*.” W mgłej tej ale trześciowej rozprawie, wprowadza trzy osoby wodzące rozmowę: Jana Kochanowskiego, Samuela Twardowskiego i Makaronskiego, jako obrońcę makaronizmów. Głównym tu celem autora jest dowodnie okazać, że mieszanie do polszczyzny wyrazów z obcego języka nietylko nie jest potrzebną, ale i smieszniejszą rzeczą. W oddzielnym ustępie mówi o dobrém tłumaczeniu z obcych języków. Rozmowa powyższa, w czasach swego wydania, była żywotnym pytaniem, bo uderzała śmiało na tak bezrozumny a zakorzeniony zwyczaj w narodzie. Wydał ją po łacinie, uczeń zaś jego Leski tłumaczył ją na język ojczysty, a Bohomolec sam przekład ten poprawiał. (1)

Od roku 1764, czyli od chwili wstąpienia na tron Stanisława Augusta, zaczął wydawać: „*Zbiór dziejopisów polskich, w czterech tomach zawarty*.” W nim objął kroniki Marcina Bielskiego, Strykowski, Kromera (przekład Błazowskiego) i Gwagnina (tłumaczenie Marcina Papkowskiego).

Powziął Bohomolec tę piękną i użyteczną myśl, uważając historję jako naukę mistrzynię, aby wiadomości z dziejów ojczystych rozszerzyć w kraju, tém bardziej że pierwotne wydania tych kronik stały się nadzwyczaj rzadkimi, a ztąd i mało znanymi. Oprócz poświęcenia mozolnej pracy, wydanie tak ogromnych ksiąg wymagało niemałego nakładu. Biskup Józef Załuski wsparł na początek Bohomolca, resztę dała prenumerata. Szybko tomy tego zbioru wychodziły, pomimo że przedpłata szła oporem; ogłosił więc, że po wyjściu całego dzieła, cena jego w dwójnasób powiększoną zostanie. Przy wytrwałości przecież, wykonał swoje przedsięwzięcie dokładnie i sumiennie. Kronika Bielskiego wydana została 1764 r., Strykowski 1766, Kromera 1767, Gwagnina 1768 r.

Z polecenia starszyny zakonnej, ku rozszerzeniu chwały jezuitów, tłumaczył obszernie dzieło i wydał p. n. „*Listy różne ku chwalebnej ciekawości i chrześcijańskiemu zbudowaniu służące, z Azji, Afryki i Ameryki, niegdys od misjonarzy Societatis Jesu, w rozmaitych językach pisane, teraz, dla pragnących wiedzieć o pomnożeniu wiary naszej w tamtych krajach, jakoteż i obyczajach onych narodów, po polsku przetłózone, przez jednego zakonnika Societatis Jesu. Warszawa 1767 r.*”

Przez dwa lata następne, zajmował się Bohomolec wydaniem nieznanych pism Kaźmirza Sarbiewskiego. Słynny nasz historyk Adam Naruszewicz, profesor naówczas poetyki, w kolegium wileńskim jezuitów, ogłosił w r. 1757 w pięknym wydaniu tego łacińskiego poety liryki, dytyramby i epigrammata; później wynalazłszy wiele rękopisów Sarbiewskiego, takowe Bohomolcowi przesłał. Troskliwy o sławę narodową Bohomolec, wydał je w r. 1769 p. n.

„*M. C. Sarbiewski S. J. opera posthuma, quibus accesserunt multa poemata, vernaculo (i. e. polonico) carmine reddita.* (Typ. Soc. Jesu, str. 312.)

Po raz pierwszy wydany tu został ułamek poematu historycznego *Lechias*, bo cały zaginął. (2) Bohomolec, zwolennik i wielbiciel dziejów ojczystych, opracował dwa żywoty znakomitszych mężów w narodzie; pierwszy Jana Zamojskiego, kanclerza i hetmana w koronnego, wydał w r. 1775, drugi Jerzego Ossolińskiego, kanclerza w koronnego r. 1777. (3)

W r. 1779 wydał, dla użytku młodzieży szkolnej, przekłady mów łacińskich: „*Zabawki oratorskie*.” Jest to praca dawniejsza, gdy w kolegium jezuitskim jako profesor retorykę wykladał.

(1) Franciszka Bohomolca Soc. Jesu rozmowa o języku polskim najprzód po łacinie napisana, teraz z przydatkiem i odmianą na polski język przełożona przez Ksawerego Leskiego, chorążycia malborskiego. Warszawa w drukarni Miclerowskiej 1758 w 8ce.

(2) Są tu listy Lubińskiego do Sarbiewskiego i odpowiedzi tegoż, w ogóle listów 92, a nadto jeden Dyonizego Petawiusza do Sarbiewskiego pisany. Przyłączył nadto Bohomolec, obok oryginalnego tekstu, tłumaczenie 50 pieśni Sarbiewskiego, jak: Samuela Twardowskiego, Piotra Puzyry jezuitę, Naruszewicza, Antoniego Wiśniewskiego pijarę, Jana Albertandego, wtenczas jezuitę, Józefa Minasowicza, Michała Przędzińskiego starostę piskiego i własne swoje.

(3) Oba żywoty przedrukował Mostowski w swoim wyborze pisarzy polskich. Bohomolec autobiografią Ossolińskiego, doprowadzoną do 20 roku życia, wcielił do swojej pracy.

Uplęno lat 33 od czasu kiedy Bohomolec, jako pisarz komedji, pierwszy raz dał się poznać; teraz starzec zwątlony pracowitem życiem, nie wypuszczał do śmierci pióra z ręki. Ostatnią jego pracą jest tłumaczenie podręcz *La Harpa*, które wspólnie z Kaźmirzem Wróblewskim i Wincentym Magierem wykonał i wydał w 5 tomach 1783—1794 r. (1)

Jeżeli jednak jako pisarz użyteczny i wydawca niemałe położył zasługi, największe ma zaprawdę jako redaktor *Monitora*, pisma peryodycznego.

Nowość na owe czasy niestychana, pokupna, wkrótce wielki wpływ wywierała zaczęła. Bohomolec położył sobie cel jasny: „Biorąc na się urząd *Monitora*, (pisze we wstępie) przyjmuję oraz złączony z nim obowiązek służenia krajowi, pokazując obywatelom jakimi być powinni, aby byli mu pożyteczni.”

Ciągle w swém piśmie do tej samej myśli dążył i silne w narodzie zajęcie obudzić potrafił. Wiele prawd zaszczerpił i wielkie zasługi położył w rozbudzeniu życia duchowego i ogólnej reformie na drodze postępu. Z rokiem 1764, równocześnie gdy ogłosił zbiór dziejopisów polskich, rozpoczął wydawnictwo *Monitora*, który wszyscy współcześni pisarze podparli. Dziś pismo to jest skarbcem wiadomości, doskonałe odzwierciedlających społeczność ówczesną.

Krasicki tak nam maluje Bohomolca, w jednym ze swoich listów:

„Nie była dziką jego cnota: używał się towarzystwu i wielce miły w posiedzeniu dobranych przyjaciół, umiał łączyć wesołość żywą, z przykładnością nienagannego życia. Nienadęty czczym pozorem mędrzec, ani gardził dobrém mieniem, ani się o jego zbyteczność starał, i choć urodzenie, przymioty i więźność dawały mu sposobność do wzniesienia się, obrał sobie mierność i w tej trwał do śmierci. Umierając, całość zbioru swojego poświęcił nieszczęśliwym; lży słodkie wdzięczności uwielbiać będą pamięć jego.”

Napisał także Bohomolec sławną *pieśń Kurdeszową*, którą cała szlachta rzeczypospolitej umiała na pamięć i przy każdej ochocie rada wyśpiewywała. (2)

Bohomolec miał świetne dni sławy i popularności w narodzie. Późniejsze czasy i znakomitości literackie w cień usunęły szanowną postać tego pełnego zasługi męża.

Umarł d. 24 marca 1784 r. w Warszawie. Oprócz jałmużn i hojnego sług swych opatrzenia, zapewnił na domach staręj Warszawy (Starego-Miasta) 3000 dukatów na fundusz wieczny dla ubogich i podupadłych. Do dziś dnia fundusz ten istnieje i spełniana jest wola czcigodnego fundatora.

Król Stanisław August polecił artyście Marteau zachowanie w miniaturach wizerunków tych z literatów, których zapraszał na *czwartkowe obiady*. Z tego zbioru wierny przerys popiersia Bohomolca załączamy.

K. Wł. W.

## Kronika tygodniowa.

Skutkiem wspomnienia o żebractwie ulicznym w ostatniej kronice tygodniowej, jeden z prenumeratorów Tygodnika podaje projekt zaradzenia, choć częściowego, złemu. Sądzi on że wielu z tych żebraków mogłoby znaleźć pomieszczenie przy stacyach dorózkarskich, znajdujących się zwykle obok ulicznych studni. Tam podając i odbierając szuffe i statki przy pojeniu koni, mogliby łatwo coś zarobić. Dla najstarszych i najsłabszych nawet ta robota nie byłaby nad siły, a uniknęliby tym sposobem upokarzającej i demoralizującej żebrani. Takim dozorcą studiennym Dobroczyńność mogłaby udzielić parę szklanek, z których podawaliby wodę przechodniom, co, zwłaszcza podczas upałów, wielką dla tych ostatnich stałoby się wygodą. A mamy dowód ze skarbnki przy studni w Saskim ogrodzie umieszczonej, że taki groszowy dochód, sporą nieraz dziennie utworzyć może sumkę. Mogliby oni także oddawać usługi przy studniach wodociągowych, pilnując tych studni i nie pozwalając chłopcom ulicznym psucia ich i mącenia.

Są to wszystko bardzo dobre rady, chociaż z wielu względów trudno je w czyn wprowadzić. Przedewszystkiem ażeby znaleźć dla żebraków zajęcie, trzeba się nimi zająć. Do tego konieczni są osobne urządzenia. U nas pod tym względem nie jeszcze stałego niema, a jeżeli istnieje jakie urządzenie, to nigdy ono nie weszło w wykonanie. I myli się bardzo ten kto myśli że łatwo jest żebraka skłonić do poszukiwania sobie najlżejszego nawet zarobku. Trze-

(1) Pierwszy tom tylko Bohomolec wydał, reszta wyszła po jego zgonie.

(2) Wydrukowałem ją w całości w dziele: Życiorysy znakomitych ludzi, Warszawa 1850, t. I str. 528.

ba koniecznie do tego środków przymusowych. Że-brak kocha swoje rzemiosło, bo mu w niem dobrze, bo dogadza ono przedewszystkiem najsilniejszemu w nim pociągowi do lenistwa. Kto raz zbył się już wstydu, który dla wielu przeważną jest zaporą do wyciągnięcia ręki na ulicy, ten się już nie cofnie. A przytém zyskowna to rzecz. Zarobek nie jest pewny, nie zawsze się trafi, a jałmużna w każdym razie przyjdzie, bo dobrzy ludziska pogderają trochę i dadzą. Niektóre uprzywilejowane miejsca, na głównych zwłaszcza ulicach, są prawdziwem Eldorado dla żebraków, trzeba więc widzieć jak się nieraz kłóca, a nawet walki na pięście staczają o te stanowiska. I tutaj można łatwo się przekonać, jak niesłusznie kobietom dano nazwę płci słabiej. Ta słaba płeć nie da sobie w kaszę dmuchać. Nieraz widzieliśmy żebraków o szerokich barkach i żyłastych pięściach, cofających się przed natarciem baby, jak Hektor przed Achillem pod murami Troi. Często także na korytarzach i schodkach kościelnych takie turnieje miękają miejsce, zwłaszcza jeżeli tam pomiędzy uprzywilejowanymi żebrakami ukaże się nowa jakaś postać. Wnet na takiego nieproszonego gościa zwoływane bywa pospolite ruszenie, i zawsze, jak u Homera, szermowanie językiem poprzedza drogę czynu, aż nareszcie przychodzi, choćby go najmężniejszem sercem nieba obdarzyły, zmuszony jest, jak generał Lee, uciekać za Potomak pod naciskiem unjonistów.

Ze zarobek żebracki jest wcale spory, mogę to przykładem udowodnić. Kilkanaście lat temu, pewien młody autor, należący do tego towarzystwa piszących, któremu, w mylnym kierunku rozbudzona, wyobraźnia najdziwaczniejsze czasem nastęczała pomysły, założył się z innymi że przez kilka godzin będzie żebrał na ulicy i zbierze sobie tym sposobem kilka groszy.

— Ale wszakże każdy pozna żeś młody, zdrowy, silny, rzekł mu jeden z jego towarzyszy, wątpię ażebyś znalazł tak głupiego coby ci chciał jałmużny udzielić?

— Co wam do tego, bylebym wygrał zakład. A zresztą, teraz zima, długie wieczory, a po nocy wszystkie koty są bure.

I niewiele myśląc zabrał się do dzieła. Wyrwał od kogós jakąś podartą kapotę, zmięty i połamany kapelus nasunął na twarz i stanąwszy przy rogu ulicy Miodowej i Senatorskiej, począł wołać załośliwym głosem.

— Najlitościwsza osobo, daj grosik ubogiemu.

Spotkało go wprawdzie wiele oburknień i grózb nawet, bo był tak natarczywy że chwytal przechodniów za poły, stało się jednak na jego słowie, bo w przeciagu trzech godzin zebrał *trzydzieści dziewięć groszy!* Wrócił więc z tryumfującą miną, a że to był czas w którym literatura nie popłacała i wydawcy zaledwie z łaski drobną część zysków, jeżeli były jakie zyski, udzielali autorom, groził zawsze iż porzuci piśmiennictwo a pójdzie na żebraka, bo to bardzo zyskowne a nietrudne rzemiosło i przedewszystkiem nie potrzeba doń wielkich kwalifikacyj.

Co się zaś tyczy projektów, przez naszego prenumeratora podanych, stanowią one tylko drobną część tych zajęć, które w wielkiem mieście, jak Warszawa, nastęrczają się ludziom, godziwego zarobku szukającym. Wszakże to wszystko co po miastach wielkich zowie się *drobne rzemiosło uliczne* u nas jest prawie nieznanem. Gałganiarzy bardzo niewielu jest stosunkowo w naszym mieście, i z tego powodu mnóstwo gałganów się marnuje, a te które dostarczane bywają do papierni sprzedają się nad wartość; za czem naturalnie idzie i wysoka cena papieru, na którą się wszyscy wogóle skarżą. Iluż z tych co wyciągają rękę po ulicach mogłoby sobie tym sposobem godziwy znaleźć zarobek?

Alę niedość na tém; istnieje mnóstwo przyborów potrzebnych do gospodarstwa, które roznosząc na piętra za stosowną opłatą zyskałoby się niemało grosza. Mało który dom w Warszawie jest zaopatrzony w wodę wodociągową, nosiwodów niema prawie wcale i trzeba nieraz osobną służącą trzymać do tych piętrowych posług. Toż samo z drzewem i węglem. Byłoby to wielką oszczędnością dla wielu gospodyń, gdyby wszystko, po co trzeba posyłać służące ze znaczną utratą czasu i kłopotem, (bo nie każda chce się tego podjąć,) znalazło się w oznaczonej godzinie w mieszkaniu. Tak bywa w Paryżu i Londynie, tak i po miastach niemieckich, a z tego powodu o położeniu mniej sług potrzeba tam trzymać, aniżeli tutaj, i jest się lepiej obsłużonym. Tam jedna służąca zastąpi dwie tutejsze i sama pani domu z pożytkiem już się zajmuje gospodarstwem, znajdując wszystko pod ręką.

Wieleż to młodych małżeństw w Paryżu obywa się zupełnie bez służących. I nie w tym dziwnego; żona portiera przyjdzie zrana i sprzątnie pokoje. Pani sama nie potrzebuje iść do miasta, bo jej wszystko doniosą do mieszkania, młoko, śmietankę, mięso, jarzyny i t. d., słowem całe śniadanie i cały obiad; idzie tylko o to ażeby ugotować to wszystko na małej kuchence, umyślnie na ten cel przyrządzonej. A nie przynosi to żadnego kłopotu, owszem jest raczej zabawką, bo wszystkie wiktuały do kuchni potrzebne wybornie już są przyrządzone, oskrobane, wyplukane i t. d.

A czyliż niedogodnym by było zaprowadzenie u nas tak zwanych komisyjnerów? Była podobno o tym mowa, ale jak zawsze skończyło się na projekcie. A jednak dla ubogiej klasy wielkiem by to było dobrodziejstwem. Iluż to ludzi z takich posylek żyć by u nas mogło. Dzisiaj chcąc do jakiegobądź interesu znaleźć posłańca, trzeba tyle niemal drogi zrobić ile sam ten posłaniec miałby jej do przejścia. Tębardziej kiedy idzie o przeniesienie czego; wówczas ani doprosić. Za przejście dwóch ulic żądają parę złotych, a i tak jeszcze niechętnie podejmują się tej czynności. Lada tragarz, albo wyrobnik bez zajęcia, woli ziewać z nudów gdzie na rogu ulicy, aniżeli się podjąć roboty za cenę, jak twierdzi, *nieodpowiednią*. Jest to wprost tylko niewyzwolenie do pracy. „A co mi za niewola mordować się, mówi jeden i drugi, wole oszczędzić kości, aniżeli za kilkanaście groszy zadać sobie takie umęczenie.“ I dziwimy się potem, że żebractwo się mnoży? Ci wszyscy, którzy tak mówią, są tylko zapłodkiem na przyszłych żebraków. I trzeba jeszcze wziąć na uwagę że lazzaronowski ten systemat coraz się dalej rozszerza. Praca odstrasza a próżnowanie nęci. Sądziłyby można że kiedy brak roboty, robotnicy za tańszą cenę powinni się podejmować tej która im się nastęczy. Ale gdzież tam? Nawet druciarze, ci ludzie tak ochoczy dawniej do wszystkiego, co im dać mogło zarobek, woła żebrac, aniżeli zapracować na chleb.

Pisał, zdaje się, Kurjer Warszawski że znalazło się u nas kilku czyszcicieli obowią. Jest to także jedno z małych rzemiosł ulicznych, dość licznie praktykowane za granicą. W Warszawie nie brak błota ani kurzu, więc na każdej z głównych ulic jeden lub dwóch takich czyszcicieli mogą się śmiało utrzymać. Może z początku nie będą mieli dość zajęcia, bo już to zwykle tak bywa; potrzeba aby publiczność zapoznała się z dogodnością, która dla niej na bruku wyrasta. Ale przechodnie, przyzwyczajwszy się do posług czyszcicieli, już potem nie będą się mogli bez nich obejść. Tylko trochę wytrwania. Wszakże przed dwoma laty zapewniano, że omnibus nie może się u nas utrzymać. Dzisiaj jest ich kilkadziesiąt, w różnych kursujących kierunkach, a każdy z nich znajduje przywoity zarobek i jeszcze więcej by się ich zdało. Toż samo z zakładami napojów gazowych. Namnożyło się ich na każdej niemal ulicy; zamiast wody sodowej, sprzedają jakąś bez nazwy mieszaninę, zamiast soku kwas sfermentowany, a pomimo to dobre muszą robić interesa, bo coraz więcej ich przybywa. Wiadomo że współzawodnictwo pomaga tylko do odbytu. Tak że wszystkim, byle tylko zacząć.

Nie skończyłbym nigdy gdybym chciał wylizować różne inne sposoby zarobków, których przy dobrej woli, bez żadnego nakładu, jących się można. W Londynie przy każdym przejściu ulicznym podczas błota, znajdowali się zwykle (nie wiem czy się znajdują jeszcze) chłopcy z miotłami, którzy błoto, naniesione przez powozy i omnibusy, uprzatali z chodników, dla dogodności przechodniów. Jeden lub drugi rzucił takiemu chłopcu drobną sztuczkę monety, a przy końcu dnia zawsze się coś z tego nazbierało. Nawet utworzono stowarzyszenie, do kasy którego chłopcy odnosili zarobek, a zapewniano im za to, nietylko już utrzymanie, ale i początkowe kształcenie się, bo Angliki o to dbają przedewszystkiem. Taki chłopak, zając od miotły, mógł kiedyś wykierować się na zamożnego obywatela, a wzwyczajonemu za młodu do pracy już się potem ona nie wydawała ciężką.

A zbieranie odpadków różnych, laku z kopert, okrawków od cygar, kości i t. d. iluż to ludziom zapewniłoby utrzymanie. Czytamy wprawdzie w zagranicznych gazetach nieraz o nędzy pomiędzy robotnikami, kiedy z tych lub owych powodów robota ustać musi, ale pomimo wielkiej różnicy ludności, cóżby to się działo u nas przy niepomysłnych warunkach. Chyba połowa mieszkańców wymarłaby z głodu. I wtenczas dopiero poznalibyśmy dobitnie różnicę naszego urządzenia społecznego od tamtejszego. Nie daj nam Boże jednak przejść przez takie doświadczenie.

Trudno jednak wymagać od nieoświeconej klasy mieszkańców ażeby sami znali swoje dobro i użyte-

czną pracą starali się zaradzić niedostatkom w którym żyją. To wszystko zależy od nas, którzy chcemy się nazywać starszymi ich braćmi. Ale jako tacy byliśmy potrosze Kainami, bo jakkolwiek nie posuwaliśmy się do morderstwa tych nieszczęśliwych Ablów, to w każdym razie zapominaliśmy o nich i dozwoliliśmy im żyć w dziwnym stanie zaniedbania i ciemnoty. Wszystkie ochronki, przytuliska, czytelnie i t. d., są wprawdzie dobrami i użytecznymi usiłowaniami, ale i w setnej części nie zaradzą złemu. Tutaj trzeba koniecznie ogólnego popędu, ogólnego starania i to nie chwilowego, bo nie odrobi dzień jeden co całe lata popsują. Trzeba szczerzej pracy i wytrwania. Wszakże każdy się żali na służących a o umoralnieniu ich nie myśli. A służący są tylko jednym szczeblem w tej wielkiej drabinie społecznej, która tak daleko sięga. Ponieważ bliżej ościągają się o nas, dotkliwiej przeto czujemy mnożące się u nich niedostatki i wady. Byłoby inaczej, gdyby wcześniej myślano o zaradzeniu złemu. Lada coby pomogło tam, gdzie dziś nawet lekarstwa heroiczne niezawsze zadawalniająco sprowadzają skutek.

Jeszcze u nas nie nauczono się czynić rozróżnienia pomiędzy publiczną a prywatną własnością. W najdrobniejszych rzeczach widzieć się to daje. Naprzykład w przechadzkach. Obecne lato poskapiło nam ciągu pogodnych dni, rozrywek niema, wiele rodzin, które lato przepędzały na wsi albo za granicą, bawią dziś w Warszawie, skutkiem tego przy każdym dniu pogodniejszym wszystkie przechadzki tutejsze mrowią się od spacerujących. Chodzić jednak dzień w dzień do tego samego miejsca niezawsze jest zabawnie. Saski ogród już znudził, Botaniczny zjednostajniał jakoś, Szwajcarska dolina wyszła z mody, a ta nowa dolinka, gdzieś przy rogatkach Mokotowskich położona, pomimo menażeryi, składającej się z sowy i sroki, gimnastyki, z której można dogodnie spadać na piasek i kilkunastu gatunków chlebów wiejskich, zbyt jest daleko ażeby licznych zwabiać gości.

Mnóstwo więc znajduje się u nas Kolumbów, którzy ciągle zajęci są wyszukiwaniem nowych światów.

I jakraz na dogodzenie tym wszystkim żądaniom nowości, Kurjer Warszawski ogłasza, że istnieje tu na Wiejskiej ulicy ogród zwany Frascati, łączący w sobie wszystkie przymioty spacerowe, rozległość, piękne położenie, rozmaitość widoków i nader bujną roślinność. Wśląd za tym ogłoszeniem mnóstwo osób podążyło tam i przez kilka dni ogród mrowił się od spacerujących.

Ale zapomniano o tym, że to jest ogród prywatny, w którym nie z prawa, ale z grzeczności przechadzka jest dozwoloną. Z licznymi gośćmi przyszli i niedogodności w ślad za nimi idące, zrywanie kwiatów, niszczenie klombów i t. d. Skutek z tego łatwy do domyslenia. Ogród zamknięto i pozbawiono tej miłej przechadzki tych nawet, którzy, nie lubując się w licznych żebraniach, przybywali tam przed ogłoszeniem jeszcze przepędzać swobodnie chwile wieczorne. Administracja ogrodowa była w swoim prawie, bo Frascati żaden sposobem nie można uważać za publiczny ogród, tak jak niktby nie pozwolił z prywatnego salonu utworzyć resurse.

I jakże tu się dziwić prywatnym, wszakże niedawno zarząd botanicznego ogrodu skarżył się na uszkodzenie przez spacerujących najradszych nawet roślin. Kwiat się podoba, ktoś go zerwie i porzuci o kilka kroków. A ponieważ się to czyni dla prędkości ukradkowym sposobem, dla dostania kwiatu, całą roślinę nieraz wyrwa się z korzeniem. Zdarzało się że niszczone tym sposobem bezpowrotnie najradsze, najwięcej starań wymagające egzemplarze. Trzeba pamiętać na to że nie wszystkie kwiaty mają kilkugrasową wartość, że znajdują się pomiędzy niemi takie, które, wymagając umiejętnej pieczy, ostrożnego pielęgnowania, dochodzą nieraz do znacznych cen i z trudnością zaledwie bywają nabywane. Wszakże cebulki niektórych tulipanów w Hollandyi cenione były kiedyś po kilkanaście tysięcy złotych polskich za jedną, a i obecnie istnieją rzadkie rośliny, których za najdroższą cenę nie podobna prawie nabyć, tyle sprowadzenie i hodowanie ich kosztuje starań i zabiegów i tak są zadrośni o nie ci którzy je posiadają. Dodać jeszcze należy do tego, że niektóre rośliny są najjadliwszymi truciznami, sok wypływający z nich mieści jad, który w krótkim czasie zabija, albo przynajmniej przyprawia o ciężką bardzo chorobę. Jakże więc narażają się nieświadomi, którzy zrywają je nieopatrznie.

Nie dziwić się więc że przy drogach publicznych ani prywatnych nie mogą się utrzymać świeżo posadzane drzewa, że każdy z przechodniów sądzi się w prawie zrywania nieogrodzonych, albo nawet ogro-

dzonych owoców; nie dziwić się tym nadużyciom, popełnianym przez wiejskich nieoświeconych ludzi, kiedy nawet oświecona publiczność warszawska nie umie uszanować prawa własności.

## PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

7 sierpnia.

Zapowiadane od kilku tygodni spotkanie cesarza austriackiego z królem pruskim nastąpiło w d. 2 b. m. Cesarz austriacki w towarzystwie hr. Crenneville i Tenfirkhen przybył do Gastein w d. 2 b. m. i stanął u willi Meran. Wkrótce potem, król pruski w mundurze austriackim wyjechał na spotkanie. Dwaj monarchowie ucałowali się i udali do Meran, gdzie król zabawił kwadrans, i wrócił do swego pałacu, gdzie go z kolei odwiedził cesarz w mundurze pruskim. Wieczorem miasto zajaśniało lampami i puszczone wodotryski. W d. 3, cesarz był na obiedzie u króla pruskiego, a wieczorem o 8ej godzinie wyjechał do Salzburga. Korrespondenci wiedeńscy utrzymują że podczas tej krótkiej wizyty, monarchowie niemieccy zajmowali się kwestyą reformy Związku niemieckiego, w której rząd pruski wystąpi wkrótce na sejmie frankfurckim z nowym projektem. Inni twierdzą że kwestya szlezwigska stanowiła główne tło rozmowy. Dzienniki francuzkie, uważające te odwiedziny jako prostą formę etykiety, najbliższe są prawdy. Jeżeli wierzyć można pogłoskom dziennikarskim, to odwiedziny króla szwedzkiego i duńskiego daleko większą są wagi. Utrzymują że najbliższem następstwem tych odwiedzin ma być przymierze skandynawskie, zaczepno - odporne, celem zasłonięcia Danii od następstw egzekucyi związkowej w Holsztynie. Mówią nawet że szwedzki minister spraw zagranicznych hr. Manderström wysłał już noty do Paryża i Londynu, z protestacją Szwecyi przeciw egzekucyi i mieszanii się Związku niemieckiego w sprawę Szlezwigu, stanowiącego część składową monarchii duńskiej.

Generał marszałek Forey ustanowił w Meksyku rząd tymczasowy w formie tryumwiratu, składającego się z generała Almonte, arcybiskupa Labastida i generała Salas. Tryumwirat zarządzać będzie krajem do ostatecznego wyboru formy i naczelnika rządu; część garnizonu francuzkiego pozostanie w Meksyku i Puebla, reszta zaś powróci do Francji. France donosi że statek pocztowy opuści Southampton w d. 4 b. m. i powioli rozkazy cesarskie, mocą których marszałek Forey upoważniony jest do powrotu. Tenże dziennik dodaje, że marszałek opuści Meksyk w końcu września i stanie w Paryżu w pierwszych dniach listopada. Zdawałoby się więc że wszystko już zakończone w Meksyku, że dopełnienie a raczej uwieńczenie dzieła, przez ustalenie porządku w tym kraju, jest bliżkiem, tymczasem depesze z Meksyku, przez New-York otrzymane, zupełnie co innego głoszą. Według tych wiadomości, Ortega objął naczelne dowództwo nad wojskiem meksykańskim, między stolicą a San-Luis-Potosi, tak, że kilka jego oddziałów podstąpiło pod sam Meksyk. Dowódzca stacyi wschodniej kapitan Dupré i Lambert, mianowany księciem przez Radamę II, udali się na Madagaskar, celem żądania od nowej królowy ratyfikacyi układów zawartych z Francją przez zmarłego króla. Cesarz w tych dniach wyjeżdża do Paryża. Większa część ministrów wróciła do stolicy. Książę Napoleon wyjechał do Szwajcaryi.

Nadzieja pogodzenia zwaśnionych stanów w Ameryce speliła, w obec zaciągu wojskowego odbywającego się w Nowym-Yorku pomimo zamieszek, tudzież nowej odezwy prezydenta stanów oderwanych Davis'a, wzywającego pod chorągiew wszystkich mieszkańców, od ośmnastu do czterdziestu pięciu lat, zdolnych do boju. Tymczasem szala zwycięstwa przechyliła się znowu na stronę separatystów. Armia generała Meada, ścigając cofającego się separatystę Lee, starła się, pod dowództwem Gregga, z jazdą południową Stuarta i poniosła niezmiernie straty. Z drugiej strony, generał Grant po zajęciu Vicksburga wysłał Sherimana z 30 tysiącami dla zajęcia miasta Johnston w Mississipi, ale Sheriman spotkawszy się z separatystami cofnął się bez walki. Nareszcie, oblężenie Charlestonu nie idzie po myśli federalistów. Po wielokrotnych usiłowaniach, wojska związkowe, poniosłszy ogromne straty, cofnęły się na wyspę Morris. Szturmy przypuszczane do twierdzy Wagner, stanowiącej klucz całej pozycyi, odparte zostały przez separatystów jak najpomysłniej.

(Ind. Bel. Schles. Ztg. France. Constit. Jour. des Deb.)

## TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Przesyłam wam kilka rysów z miejscowości wołyńskich, które jeśli się zdadzą do Tygodnika, miło mi będzie te strony dać poznać, choć bardzo niedokładnie, albowiem ani czas ani okoliczności nie dozwolily obranego przedmiotu traktować wyczerpująco.

Przejeżdżając okolice nad Tetczowem, napotkałem na popasie towarzystwo, które starałem się przedstawić w pierwszym z załączonych tu rysunków. Było to zebranie włościan ze wsi pobliskich, siedzących nad butelkami i nieustannie powtarzających wrotki jakiejś pieśni, którą baby nawpół pijane głośno zaczynały, a chwiałym się, jakby uspijonym głosem kończyły, i znowu jakby ze snu zbudzone ponawiały.

Zapytałem szynkarza o powód podobnego zgromadzenia. Odpowiedział mi najprzód z wielkim oburzeniem, że gawiedz ta na ilość przesiedzianych godzin niedość wódki wypita, uważał bowiem że półtoręj kwarty w przecięciu konsumenci umiejetni (vulgo pi-

bie. Tam dla różnych spraw przesiadując, trafiliśmy na chwilę, w której włościanie z całym zbytkiem tradycyjnym Słowian, obchodzili liczne wesela, których stroje i miejscowe zwyczaje w rysunku podajemy.

Obrządki godowe pełne tu są symbolicznych prawideł i odwiecznych zwyczajów, które nasz lud ze czcią religijną przechował, równie jak strój, okazujący całą powagę i urok słowiańskiego smaku, zastosowanego do kraju i miejscowości. Cieńszy i lepij skrojony, strój ten stałby się ozdobą i naszych towarzysztw, jak to było dawniej, a zachowałby nam może wiele dobrych zwyczajów, które obczyzna zniszczyła, niezłomnie ich nie wynagradzając. Tu, jak wszędzie u ludu na Rusi, podanie chleba i wódki swatom rozpoczyna układy, które się niekiedy przez kilka dni przeciągają. Przed trzecią niedzielą zapowiedzi, to jest przed dniem ślubu, młodzi idą po błogosławieństwo do dworu, parocha, officialistów i krewnych, a nawet do wszystkich chat; trzykrotne padania do nóg, nie wyjmując najniższych, jest niemą a wymowną i pokorną prośbą odpuszczenia przewinień. Młodzi trzymają dwie chustki razem związane, na

go. W poniedziałek panna młoda przywdziwa na zwyczajną chustkę, białą cienką płachtę, zwaną „rańtuchem“, przepasując głowę czerwoną wstążką zwaną „byndą“, związanie węzła z prawej strony dowodzi cnotę dziewicy. W ubiorze tym poraz pierwszy ukazuje się we wtorek na wywodzie w cerkwi, z kądem idzie tańczyć do chaty możniejszego krewnego, a potem do dworu. Tu towarzyszy jej, jak wszędzie, swat wesela, z przyjaciół lub krewnych wybrany; drużba niesie mistyczny „korowaj“, na którym wtajemniczonym nietrudno się przekonać o cnotę panny młodej i jej charakterze. Tajemnice te dawniej oznaczane były pewnym układem czerwonych jagód, i różnych pieśni, które „bojary“ (całe wesele tak zowią) śpiewali. Niemalże to moralnej siły hamulec i wcale niezły sposób działania na proste wyobraźnię; wspomnienie owych tajemnicznych pieśni i obrzędów, niejedną od upadku może uchroniło.

Dziewczęta jak i mężatki noszą chustki na głowie, pierwsze zostawiają spadający koniec. Ubranie wykwiłtne składa się z granatowej sukienniej bekieszy, siwymi barankami podbitej i bogato taśmami lamo-



TYPY WOŁYŃSKIE: karczemne gody. (Podług szkicu hr. J. Młodeckiego).

jacy) w przeciągu czterech godzin powinni wypróżnić, a potem zostawić miejsce innym; ci zaś, od samego rana do czwartęj, ciągle jedną pieśń śpiewając, ledwo tę ilość wypili. Dodał potem, że powodem tego zebrania było odprowadzenie jednego członka rodziny włościanina z N., który Kijów zwidził, i nieco umiał czytać. Junak ów niemało niedorzeczności zebraniem z książki wyczytywał, a więcęj jeszcze prawil, trzymając się pod boki i podrygując; strzyżoną czuprynę poprawiał ciągle, kiwając nieustannie głową, z widoczną jeszcze niewprawą, ku wielkiemu upodobaniu przystojnej młodycy, która, pod wpływem okowity, sparła swą głowę na męża ramieniu, i w zachwyceniu słuchając to o świętościach, to o złoconych dachach, to o innych zdarzeniach, ciągle z omdlewającym spojrzaniem: „Ah, harnel!“ powtarzała.

Treścią dwóch następnych rysunków jest także Wołyń. Jechaliśmy traktem przez Dubno, sławne kontraktami, teraz prawie puste, do granicy galicyjskiej i zatrzymaliśmy się w starożytnym miasteczku Wer-

znak że przyszłe ich życie równie powinno być związane zobopólnym węzłem i z dwóch jedności stworzyć całość.

Panna młoda z wieniec sztucznych kwiatów na głowie, z rozpuszczonym włosiem i mnóstwem wstęg różnej barwy spadających na plecy, dozwala wtedy po raz pierwszy pielęgnowanemu od dzieciństwa warkoczowi igrać swobodnie z wiatrem. Często śliczne jej włosy tak ustrojone, prawdziwie urocze stanowią przybranie, mianowicie w tej miejscowości, gdzie piękne twarze kobiet niemało do tego się przyczyniają. W stroju tym po wszystkich chatach młoda obchodzić musi.

Pan młody z jednym swatem, odziany bywa w sutą kapotę i czapkę z baranków czarnych lub siwych.

Odtąd młodzi dopięro u stóp ołtarza się widzą. Po ślubie następuje biesiada, według zamożności rodziców, i tańce, które przez kilka dni się przeciągają w domach rodziców, drużek i bogatszych krewnych, oraz we dworze. Na drugi dzień po ślubie, drużki oddają do domu matki pannę młoda, świadcząc że nie uciekła, a same potem bawią się u pana młode-

wanej, krojem kontusika; często u bogatszych widzieć można potrzeby taśmowe różnego koloru, stosownie do barwy sukna. Zwyczajny strój jest to kontusik z granatowego, u biedniejszych z siwego sukna, u starych kapotowym krojem zrobiony. Mężczyźni noszą z siwego lub ciemnego sukna czamary, z potrzebami różnej barwy.

We wtorek, prócz pieniędzy, swat niesie do księdza kurę, swacha w koszyku butelkę wódki, drużba korowaj. W rysunku pokazujemy swata z kurą pod pachą; jest to dar dla dworu od najdawniejszych czasów w używaniu. Nawet w każdym innym razie, gdy włościanin ma o coś ważnego prosić, nie zaniedbuje przynieść „gościńca“, to jest owej kury lub kapłona. Nieprzyjęcie tego podarku uważa za odmówienie żądanej prośbie, i zwykle mocno zafrasowany prosi, aby mu nie ubliżać i kurkę przyjąć z tém dobrem sercem, z jakim ją ofiaruje.

Bliskość granicy galicyjskiej daje możność włościanom do nabywania często prawdziwie ładnych bławatów i chustek, któremi z wrodzonym smakiem się zdołają. Lud tutejszy w ogólności piękny jest i silny,

moralnie zaś daleko więcej wykształcony, niż w innych powiatach Rusi, mianowicie od głębokich stron północy i wschodniej Ukrainy.

Uważając ilość bydła, wątpić nie można o zamożności miasteczka Werbie i jego dobrym bycie. Trzeźwość, więcej tu jak w innych stronach upowszechniona, daje nam nadzieję ujrzenia wkrótce błogich skutków moralnych.

Tu w jednym z folwarków, w Stolpcu, mieszkał długo Hugo Kołłątaj, i dotąd przechowują ze czcią prawie religijną dąb, który ten mąż znakomity własnoręcznie zasadził.

#### KORRESPONDENCYA

#### Tygodnika

#### Illustrowanego.

(Dokończenie).

O pomniku dla Sebastjana Klonowicza w Sulmierzyczach, mieście jego rodzinnym d. 10 czerwca r. z. wzniesionym, wspominałyśmy tylko, aby zachować porządek w sprawozdaniu naszym; co zaś do samego pomnika, odsyłamy czytelników Tygodnika do dawniej już w tym piśmie umieszczonego opisu. Postanowiono także, aby w kościele parafialnym miasteczka Żuina, jako miejscu urodzenia Jana i Jędrzeja Śniadeckich i w Pile, gdzie się urodził Staszcz, na pamiątkę umieszczone zostały marmurowe tablice, ze stosownymi napisami.

Miała nadto okolica nasza inny jeszcze dług wdzięczności do spłacenia. Zwłoki Jana Henryka Dąbrowskiego spoczywają pośród nas w sklepach kościoła w Winniej górze pod Środą, w dobrach dawniej narodowych, do starostwa średzkiego należących, darowanych mu następnie w nagrodę zasług przez cesarza Napoleona, a dzisiaj własnością syna jego Bronisława Dąbrowskiego będących. Towarzysze broni tego generała i jego podkomendni, już od r. 1840 przemysłiwali nad wzniesieniem mu pomnika na jakimś publicznym miejscu w Poznańskim; lecz przedsięwzięciu temu miejscowe wówczas przeszkody stanęły na zawadzie. Obecnie znaleźli się obywatele, którzy dla uczczenia tego męża, postanowili wzniesić przy kościele w Winniej górze kaplicę grobową, celem pomieszczenia w niej zwłok



TYPY WOŁYŃSKIE: obrzędy weselne. (Podług szkicu hr. J. Młodeckiego.)

jego. Kosztorys zaprojektowanej kaplicy obrachowano na 700 tal., a oprócz materiałów, kosztorys wraz z rysunkiem budowy złożono Towarzystwu, żądając od niego aby całe to przedsięwzięcie wzięło w swą opiekę i staranie. Towarzystwo, nie uchylając się od tego wezwania, wyznaczyło na ten cel komisyją i jak słyszymy całe przedsięwzięcie bliżkiem jest ukończenia.

stwa Polskiego, przeszła do archiwum w Kaliszu.

Nakoniec wspomnieć jeszcze należy, iż zaprojektowano, aby Towarzystwo poznańskie, idąc za przykładem innych Towarzystw naukowych, przygotowało także u siebie w roku bieżącym wystawę starożytności. Towarzystwo poczyniło już do tego przedwstępne kroki; całe jednak przedsięwzięcie w obec zaślanych okoliczności poszło w odwłokę.



TYPY WOŁYŃSKIE: obrzędy weselne. (podług szkicu hr. J. Młodeckiego.)

Zaczęto też śledzić dawne akta grodu ostrzeszowskiego, należącego niegdyś do ziemi wieluńskiej. Zadano sobie w tej mierze tém większą pracę, gdy akta innych dawnych grodów w skład obecny w ks. Poznańskiego przypadłych, wpłynęły już po większej części do archiwum grodzkiego w Poznaniu, nader szacownego i bogatego w pomniki dziejowe i prawnicze.

Poszukiwania te do tego tylko doprowadziły, iż się dowiedziano, że archiwum ostrzeszowskie przez jednego z burmistrzów tamiecznych, niewielkiego snadź znawcę i miłośnika starożytności, jako przedmiot zawadzający, na publicznej licytacji rozprzedane zostało. Na tej drodze część tych szacownych dokumentów przeszła podobno w ręce kilku osób prywatnych, reszta zaś, zapewne jeszcze poprzednio, przy oddzieleniu w ks. Poznańskiego od królestwa Polskiego, przeszła do archiwum w Kaliszu.

Dnia 16 grudnia 1862 roku, wieczorem w wielkiej sali pałacu Działyńskich, odbyło się drugie posiedzenie publiczne Towarzystwa w przeciągu czasu, z którego zdać sprawę zamierzaliśmy, w obec licznie zebranej publiczności. Na tym posiedzeniu prezes Towarzystwa, hr. August Cieszkowski, po stosownej zagajającej przemowie, odczytał drugą część swęj filozoficznej rozprawy: O drogach ducha. Po nim Karol Karnicki, z wydziału nauk przyrodzonych, czytał: O utworze głazów naniesionych w nizinie nadbaltyckiej. Każdy też z przybyłych na to posiedzenie gości, nader ciekawy był oglądać, zapowiedzianą naprzód w pismach publicznych, a wystawioną na sali posiedzeń, machinę do składania czcionek, pierwszą podobno urządzoną w tym celu od wynalezienia druku, a któ-

ra sprowadzoną została do Poznania z przeszłorocznej wystawy londyńskiej przez hr. Cieszkowskiego. Przyrząd i ruch ciekawy tej maszyny, wynalazku inżyniera francuzkiego Delcambre, objaśniać miał, po zamknięciu posiedzenia Towarzystwa naukowego, jeden z techników naszych; lecz wszystko skończyło się tylko na przypatrzaniu się owej maszynie, gdyż podobno popsuta się, a nie było nikogo coby ją naprawić i w bieg wprowadzić potrafił.

Na następnych swych posiedzeniach, zajmowało się Towarzystwo po największej części załatwianiem zadań konkursowych, o czem już powyżej była wzmianka. Aby zaś dać ogólny rys literackiego i naukowego u nas ruchu, może będzie rzeczą stosowną wspomnieć także, (choć to leży poza obrębem Towarzystwa naszego), iż pan Konstanty Zakrzewski złożył jeszcze osobno na ręce członka Towarzystwa Ludwika Rzepeckiego, doktora filozofii i nauczyciela etatowego przy tutejszej szkole realnej, 300 złotych polskich, jako nagrodę za napisanie najlepszej powieści dla katolickiej młodzieży, bądź miejskiej lub wiejskiej. Powieść ta miała być oryginalną, na tle historyczno lub obyczajowo-narodowem i obejmować przynajmniej pięć arkuszy zwyczajnego druku. Ocenienie jej powierzono być miało mężom znanym ze zdrowego sądu, oraz świadomym potrzeb duchowych naszej młodzieży. Po wydrukowaniu miał autor nadto otrzymać, według wyboru, albo sto egzemplarzy dziełka, albo wartość pieniężną onychże, reszta zaś dochodu przeznaczoną być miała na ogłoszenie nowego konkursu. Członek Rzepecki ogłosił ten konkurs w dniu 15 listopada r. z., a ubiegający się winni byli nadesłać swe prace przed pierwszym marca r. b. O ile wiemy, aż do tego czasu nadesłano cztery powieści, chociaż z Poznania ani jednej, co tem bardziej zasmucać musi, gdy się spodziewać należało, że śród znacznej liczby wiejskich nauczycieli naszych, którzy zapewne na zbytek zatrudnienia uskarżać się nie mogą, znajdzie się przecież choć kilku, co zapragną doświadczyć sił swoich w podobnej pracy, tak stosownej dla stanowiska swego, a nadto mogącej im nawet przynieść niejaką materyalną korzyść. Komu przyznana została ta konkursowa nagroda, nie doszło do naszej wiadomości.

Zaraz na najpierwszem po publicznem posiedzeniu, uczynił ks. Malinowski wniosek, aby Towarzystwo, o ile na to pozwolią fundusze, wzięto na siebie nakład obszerniej jego pracy, p. n. „Krytyczna grammatyka Sanskrytu Franciszka Boppa, opracowana na drodze porównawczej, z wykazaniem organicznego związku języków: litewskiego, starosłowiańskiego i polskiego ze Sanskrytem.“ Opierał zaś wniosek swój na statutach Towarzystwa, według których jednym z jego ważnych zadań ma być ogłoszenie prac ściśle naukowych. Przedstawił następnie w obszernym wywodzie, iż go do wniosku tego skłoniła obawa, że oddawszy pracę swą księgarzowi w nakład, nie doczeka się prędkiego jej ogłoszenia, gdyż utwory tego rodzaju specjalne i scyentyficzne, na szczyplu tylko zakres czytelników liczyć mogące, w handlu księgarskim niewielkie rokuja zyski. Na dowód zaś przytoczył, iż swą grammatykę porównawczą słowiańską, jednemu księgarzowi już od półtora roku oddał w nakład, ale że dotąd ani jeden jeszcze arkusz nie został złożony. Ile słyszeliśmy, praca ta ma być całkowicie lub częściowo drukowaną w drugim tomie Rocznika Towarzystwa, który wkrótce wyjdzie na widok publiczny.

Na innem posiedzeniu tegoż wydziału, professor Gruszczyński odczytał nader ciekawą rozprawę: „O znaczeniu Myszejdy Krasieckiego,“ w której starał się szczegółowo i dość trafnie wytłumaczyć znaczenie tego utworu, dowodząc, iż Krasiecki miał tu na celu w formie satyrycznej, pod zasłoną alegoryi skreślić wady ówczesne społeczeństwa w Polsce. Praca ta profesora Gruszczyńskiego została osobno drukiem ogłoszoną.

Na ostatniem wreszcie posiedzeniu przed Świątkami, zajął nas pan Wegner nader ciekawą, i w części z niedrukowanych dotąd materyałów zebraną, wiadomością o generale Adamie Ponińskim.

Uchwalono także, aby wyciągi z protokółów posiedzeń Towarzystwa przysłać dla wiadomości innym Towarzystwom naukowym polskim, jak w Krakowie, Wilnie i t. p. Z tego też powodu takie protokoły czytaliśmy już zamieszczone w Bibliotece Warszawskiej. Sądziemy przeto, iż przysłużymy się czytelnikom Tygodnika Ilustrowanego, przedstawiając im krótki obraz półtorarocznych czynności Towarzystwa poznańskiego przyjaciół nauk.

Czekamy teraz na nowe publiczne posiedzenie Towarzystwa, a przynajmniej na wyjście drugiego tomu Rocznika. Ile słyszeliśmy, jest on już po większej części wydrukowany i mieści w sobie prace wyżej wspomniane, a oprócz tego jeszcze rozprawy profesora Cybulskiego, o niektórych utworach Mickiewicza i Mos-

bacha, ustęp historyczny, wyjęty z archiwum miasta Wrocławia. Wydanie tego drugiego tomu Rocznika, opóźnia się podobno tylko, z powodu nienadania rozprawy: „O drogach ducha,“ czytanę już poprzednio przez Augusta hr. Cieszkowskiego na dwóch publicznych posiedzeniach naszego Towarzystwa.

## NOTATKI Z WYCIECZEK PO KRAJU,

Wacława Przybylskiego.

### PUSZCZA BIAŁOWIEŻSKA I ŻUBRY.

(Dalszy ciąg.)

#### III.

Przejdźmy teraz z kolei do opisanie żubra, jego zwyczajów i pierwszych prób w celu przyswojenia tego zwierzęcia robionych.

W opisie swoim staraliśmy się zebrać wszystko, co dotychczas o tem zwierzęciu było pisanem, sprawdzając niektóre zdania i opinie na miejscu, lub też dopełniając i rozwijając je w miarę możliwości i tych małych zasobów, jakie nam mogły dostarczyć postrzeżenia własne i opowiadania tamecznych mieszkańców, któreśmy zebrali podczas dwutygodniowej wycieczki do puszczy białowieżskiej.

Opisywać postaci żubra nie mamy potrzeby, tem bardziej że do pierwszej części tego artykułu dołączone już były dokładne rysunki żubra i łosia. Dodamy tu tylko to, czego rysunek uwydatnić nie może.

Żubr cały skupiony w karku, ma głowę stosunkowo większą niż wół zwyczajny; uszy gęsto zarosłe szerszą, sięgającą tylko do połowy głowy, pokrytą wraz z garbem, na karku i pod gardłem długą welnistą grzywą i brodą, której długość zmienia się względnie do wieku zwierzęcia i pory roku.

Na wiosnę żubr lenieje, tracąc całą niemal grzywę; zostaje mu tylko czub przerzedzony i broda, i zaledwie we wrześniu wraca do normalnego zimowego stanu. Szerść tego zwierzęcia latem bywa jasno-brunatna, a podczas zimy widocznie ciemnieje.

Dołmatów, niegdyś leśniczy gubernialny, zarządzający puszcza białowieżską, co tak znakomicie nam się przysłużył przez pierwsze próby przyswajania żubrów, podaje w swém sprawozdaniu, iż widział dwie odmiany żubrów, a mianowicie: a) żubry znacznie mniejsze, prawie czarne, z wydatniejszym garbem, które łeb mają szerszy, a przez to i rogi więcej się rozchodzą; b) żubry większe, jaśniejszej barwy i t. p.

Często się zdarza iż obie te odmiany chodzą razem, a niekiedy osobno. Brinken wspomina o tych dwóch odmianach, jako o fałszywem domniemaniu, przypisując pozorne różnice li-tylko wiekowi zwierzęcia.

Nam nie zdarzyło się widzieć tych odmian, gdyż byliśmy w puszczy na początku jesieni, kiedy żubr niezupełnie jeszcze odziany. Wprawdzie leśnicy wspominali o tem, ale w tak niedokładny sposób, że z ich opowiadań nic pewnego nie mogliśmy wywnioskować.

Samiec i samica wcale się nie różnią od siebie, ani zewnętrznym kształtem, ani też wielkością. Szerść żubra, a mianowicie czub, wydziela silny zapach myszki; tę samą własność posiada i mózg tego zwierzęcia.

Oczy żubra, pałające, krwią nabiegłe, ze żrenicą prawie pionową, zdają się na wierzch wylazić; skoro się zwierzę rozjuszy, białka się czerwieni, żrenica błyska metalowo-zielonkawym odbłaskiem, a w spojrzaniu jest coś nieokreślenie dzikiego, szalonego. Język i podniebienie ma to zwierzę ciemno-granatowe, wpadające w czarne. Nie podajemy tu ścisłych wymiarów żubra, gdyż te są zmienne, skoro porównamy ze sobą wykazy Błaziusa, Brinkena i wymiary zdjęte przez nas z egzemplarzy wypchanych samca i samicy, znajdujących się w muzeum wileńskim. Każdy z tych wykazów zasługuje na wiarę i dlatego woleliśmy wziąć z nich średnią, którą możnaby mniej więcej przyjąć za normalną.

Długość od osnowy rogów do począt. ogona	9'—4''	—
długość głowy	4'—9''	—
„    ucha	—5''	3'''
„    ogona	4'—11''	—
wysokość przodu	5'—6''	—
„    tyłu	4'—10''	—
odległość rogów przy osadzie	—9''—3'''	—
największa odległość rogów	2'—3''	—

Widzimy przeto z tych rozmiarów, że żubr mało się różni od bizona amerykańskiego.

Waga żubra odpowiednią jest zupełnie jego wielkości, mięso jego soczyste i smaczne; mleko posilne, ale mniej posiada tłustych części niż krowie; skóra na surowiec wyprawna, doskonałą jest na chomąty. Obecnie, przy wzbudzonem polowaniu na żubry, niepodobna znaleźć chomątów ze skóry żubrowej, ale

jak mi opowiadali starzy strażnicy, mianowicie za czasów księstwa warszawskiego, całe kompanie, tak zwanych kłusowników, przychodziły do puszczy z Pruss i strasne robiły zniszczenie. Wprawdzie kilku złapanych zaraz powieszono w Grodnie, ale to, w owym czasie zaburzeń politycznych, niebardzo odstraszało tych, co się wykreśli od stryczka.

Żubry zwykle chodzą gromadami od 20 do 30 sztuk; latem trzymają się gąszczarów i miejsc wilgotnych, na zimę wychodzą do borów. W razie rozpedzenia stada, wabią się później urywanem chrapaniem, podobnym do warczenia skrzydeł wlatującego jarząbka. Chrapanie to można słyszeć w odległości sześćdziesięciu kroków.

W razie gdy dwie gromady spotykają się ze sobą, słabsza i mniej liczna ustępuje placu silniejszej, bez utarczki.

Stare żubry, *odyńcami* zwane, błakają się zwykle samotnie. Podczas lata żubr trwożliwy, ale zimową porą wcale się ludzi nie lęka, spotykając bowiem niemal co godzina to strażników, to pastuchów, to wieśniaków, jadących po drzewo do lasu, oswoił się już z tą myślą, że ludzie muszą go szanować, a nawet bronić w razie niebezpieczeństwa. Wedle opowiadań strażników, zdarzało się nieraz podczas obław na wilki, że młody żubrek zestrachany, przepłoszony wraskiem pokliczy, podbiegał do pierwszego jakiego natkał strażnika, jakby ufał że tu mu nic złego stać się nie może i czekał na miejscu nim ze strachu ochłonął.

Zdarzało się także iż żubr skalęczony przypadkiem i wzięty na kuracją do wsi lub do dworu, powoli przywiązywał się do człowieka, co go doglądał. W obecnym czasie można widzieć podobne przykłady przywiązania żubrów do swych dozorców w Wilanowie pod Grodnem, majątnością p. Leopolda Walickiego, który robi u siebie próby krzyżowania rass żubrów i bydła domowego i już ma dwa pokolenia mętsów.

Podczas pisania obecnego artykułu, nie mieliśmy możliwości zwidzenia Wilanowa i sprawdzenia na miejscu owoców długoletniej pracy naturalisty—obywatela; upraszamy go więc o podanie do publicznej wiadomości wypadków z prób jego, sumiennie i ze znajomością rzeczy robionych, które tyle przynieść mogą pożytku dla gospodarstwa krajowego, w razie jeśliby się żubry dały ugłaskać i używać do pracy jak bydło domowe; ogromna bowiem siła tego zwierzęcia wielce byłaby pożyteczną, lub też skoroby ze skrzyżowania powstała nowa rassa, większa i silniejsza od naszego bydła domowego.

Że pierwsze przypuszczenie nie jest urojeniem, świadczy wypadek zaszły w r. 1840 w majątności obywatela Strodzkiego, gdzie przez długi czas karmiono brachą starego żubra, i ten regularnie wraz z bydłem co wieczór powracał z paszy; świadczą nareszcie próby p. Dołmatowa, o których powiemy nieco niżej. Teraz wracamy do dalszego ciągu opisanie zwyczajów żubra.

Gromady żubrów zwykle trzymają się razem i prawie stale przebywają w tych samych ostępach. W ogóle wielkich przesiedleń nie lubią; za dowód tego może posłużyć puszcza świstocka, kędy się przechowuje nieliczne stado żubrów od lat wielu, chociaż po sekwestrze dóbr świstockich używano wszelkich sposobów, żeby przepędzić jej mieszkańców do sąsiedniej Białowieży. Cechuje to przywiązanie do miejscowości, uwarunkowane czy gatunkiem pokarmu, czy też przyzwyczajaniem; drugie przypuszczenie ma nawet więcej prawdopodobieństwa za sobą, gdyż przepędzone do puszczy białowieżskiej znalazły tam pokarm sobie właściwy, a jednak wróciły na miejsce dawnego pobytu.

Żubr lubi gryźć korę drzewną, nie gardzi też mchem (oprócz mchów rosnących na brzozech) i młodemi odrostkami drzew liściowych. Zimową porą odrostkuje jednoletnie i dwuletnie odrosłe pewnego gatunku wrzosu (*caluna vulgaris*); oprócz tego spożywa siano przygotowane dlań w stogach, chociaż najczęściej więcej go zdepcze niż zje; żubr bowiem od razu wkopuje się w środek stogu i cały zapas siana rozruca, szukając traw ulubionych.

Gilbert zauważał że zwykle żubry ze stogów dla siebie przygotowanych wyciągają rośliny baldaszkowe i trawy błotne, a chociaż przyswojone jedzą owies, nie mniej jednak nigdy prawie nie niszczą pól zasianych na łanach wioskowych wpośród puszczy położonych, gdyż, jak się zdaje, unikają miejsc zamieszkałych, a wielce milują zacisza puszczy niedostępnej. Zimą trzymają się zwykle w borach, a na wiosnę wchodzą w głąb puszczy, kędy są miejsca wilgotne i niskie. Latem często widziano żubrów, tarzających się w piasku, zapewne w celu obronienia się od owadów, zawziętych swoich przesładowców.

W maju żubrzyca oddziela się od stada, szuka ustronnego zakątka puszczy i tam na świat wydaje jedno cielę, które przez trzy dni leży nieruchome i nie przyjmuje żadnego pokarmu. Wówczas to troskliwa matka nie opuszcza go ani na jedną chwilę, ogrzewa je swoim oddechem, liże i pieści. Biada nieogłdnemu leśnikowi, któryby się wtedy nasunął w to miejsce: żubrzyca, zwykle łagodna i lękliwa, już nie czeka zaczepki, ale rzuca się sama, z największą wściekłością na ciekawego gościa. Po trzech dniach cielę zaczyna wstawać, ssać pierś matczyną i próbuje chodzić, a matka je uczy, idąc wśląd za nim i popychając zlekka głową. Niezadługo potem, żubrzyca wraz ze swym cielęciem wraca do stada i tam już karmi młodego żubrzyka do jesieni.

Pierwszej zimy żubrzyki tak są kosmate, że wedle słów Brinkena, patrząc na nie zdaleka, wyglądają zupełnie jak niedźwiadki. Żubry mnożą się nader powolnie i każdego roku zaledwie 1/3 części żubrzyć się cieli. Nareszcie wiele cieląt pada ofiarą wilków, których mnóstwo kryje się w puszczy, a nawet te rubasie drapieżne polują nie bez korzyści i na stare żubry.

Widzimy przeto że chcąc ocalić plemię żubrów od zatury, człowiek winien mu przyjść z pomocą i nie tylko nie niszczyć, ale jeszcze rozumnie je pielęgnować, ochraniać i bronić.

Opisując puszcze, wskazaliśmy jej urządzenie i środki przedsięwzięte w celu strzeżenia żubrów. Eichwald robi wszakże uwagę, że najlepszym środkiem przyspieszenia rozmnażania się żubrów, byłoby wyniszczanie stopniowe odyńców, gdyż wedle jego zdania, oni największą są zaporą ku rychlejszemu wzrostowi plemienia zwierząt, tak ogólnie i z taką pieczołowitością strzeżonego, kalęczą bowiem częstokroć, lub zabijają młode żubry w walce o samice.

Wedle naszego zdania, byłoby daleko praktyczniej przyswoić żubra, i zrobić go zwierzęciem domowym, przez co wszystkie zawady usunęłyby się pod kierownictwem rozsądnym człowieka. Odyńce piłyby wtedy brahę i karmiły się na łaskawym chlebie, nie wtrącając się nie w swoje i nie targając się na prawa młodszego pokolenia.

(Dokończenie nastąpi).

## KOŚCIÓŁ ŚW. STEFANA

### KLASZTOR MARYAWITEK

W WILNIE.

Idąc przez Ostrobramę, ku dworcowi kolei żelaznej, postrzegamy na prawo, poza obrębem prawie Wilna, mały, niepozorny, jakby chcący uniknąć gwaru miejskiego, kościółek. Nazywają go różnie—raz kościołem św. Stefana, drugi raz św. Szczepana, to znowu kościołem panien maryawitek. Nie odznacza się on ani strukturą, (o czém sam się przekonasz czytelniku z obocznej ryciny), ani miejscowością, która ze wszelkich okolic i przedmieść Wilna najmniej podobno jest malowniczą, ani starożytnością, bo zaledwie półtrzecia wieku ubiegło od jego założenia, ani wreszcie jakim pamiętnym wypadkiem, bo dzieje wileńskie skąpo tylko i od niechęcia o nim wspominają; a jednak z losom jego klasztoru tak interesująca wiąże się historia, że mało jest świątyń w naszym kraju, któreby czémśkolwiek podobnym poszczycić się mogły.

Nim cię jednak, czytelniku, bliżej z nią zapoznamy, chcielibyśmy przypatrzeć samą świątynię, jej przeszłemu i obecnemu stanowi.

Wymurował ją w 1600 r., ze składek zebranych, jezuita, Szymon Wysocki, przy czynnym udziale biskupa wileńskiego Eustachego Wołowicza. Przy nim został założony szpital dla chorych, wraz z bractwem św. Łazarza. Zniszczony podczas kaźmirzowskich wojen, dopiero w 1673 r. został podniesiony, a ów drewniany przy nim szpital restaurowany. Jak dochody jego natenczas były szczupłe, pokazują się z inwentarza 1711 r., który je oblicza na 562 złp. 15 gr. Sądzić jednak należy, że w innych latach były one wyższe, zwłaszcza że w prawie przez trzy lata, od 1708 do 1710 r., grasowała w Wilnie straszna morowa zaraza, skutkiem której koniecznie nastąpić musiała drożyzna, co zresztą widzimy z taksy ówczesnej zboża: beczka żyta kosztowała zazwyczaj 8 ówczesnych groszy litewskich, 1710 zaś r. podniosła się aż do 60 złotych. (Baliński i Kraszewski).

Kościółek ten jest zbudowany w kształcie krzyża, niema żadnych zewnętrznych ozdób ani wieżyczek. Długość jego wynosi 14 sążni i 2 łokcie, szerokość od 3—5 sążni, wysokość zaś największa 13, najmniejsza około 6 sążni. Wewnątrz niema nic godnego u-

wagi, prócz nagrobku ks. Aleksandra Toczyłowskiego, biskupa belneńskiego, zm. 1808 r. Kościół św. Szczepana, niegdyś stanowiący osobną parafią, dziś należy do parafii Wszystkich Świętych.

Niewielki cmentarz, gesto okryty krzyżami i mogiłami, przytka doń z lewej strony, nadając tej świątyni postać prawdziwie sielską. Zpomędzy wielu, w rozmaitych zawodach zasłużonych mężów, których ciała tu leżą, wyliczmy następujących: W małej kapliczce cmentarnej spoczywają zwłoki ks. Dawida Pilchowskiego, biskupa sufragana wileńskiego, dziekana uniwersytetu wileńskiego. W murze otaczającym cmentarz leży Mikołaj Regnier, dr. medycyny, professor akademii medycznej wileńskiej. Pochowani tu również: ks. Anioł Dowgór, św. teologii dr., kanonik, professor logiki i filozofii w uniwersytecie wileńskim i duchownej akademii, członek wielu towarzystw naukowych, autor kilku dzieł i rozpraw treści filozoficznej; znany nowszemu światu Józef Władysław Bychowicz, i Józef Rogawski, zasłużony artysta sceny dramatycznej wileńskiej.

Przebiegłszy w krótkości dzieje tego kościoła, możemy teraz z zupełną swobodą pomówić o klasztorze maryawitek, o jego założycielu i założeniu, tudzież o burzliwych losach, przez jakie w przeciągu stulecia przechodził. Posługiwaliśmy się w tej pracy ciekawym artykułem, umieszczonym w 1820 r. w „Dziejach Dobroczynności“ wydanych w Wilnie, a noszącym następujący tytuł: „*Krótką historią zgromadzenia sióstr Mariae Vitae, napisaną przez jedną maryawitkę.*“

Pierwszą myśl założenia tego zakładu powziął i wykonał ksiądz Józef Stefan Turczynowicz, kanonik pilyński, proboszcz, najprzód w Dzieciole, później u św. Stefana w Wilnie. Urodzony przy schyłku XVII wieku, ze szlacheckich lecz niezamożnych rodziców, z prawdziwego powołania obrał stan duchowny, w którym najgorliwiej spełniał swe obowiązki, nadto poświęcił się jeszcze nawracaniu Żydów. Idea zrodzona w dzieciństwie, wykołysana z latami, poparta wielokrotnym doświadczeniem, dzięki któremu przeszło pięćset Żydów nawrócił, ochrzcił, a co największa, zapewniwszy im przez swoje wpływy i starania byt, wcielił ich do tak zupełnie nowego dla nich świata, umocnił i utwierdził w wierze,—ta powiadamy idea spać mu nie dawała, snując mu tysiączne plany, dotyczące jej rozpowszechnienia i obszerniejszego zastosowania.

Zaiste trudne to było przedsięwzięcie! Nietylko w Polsce, lecz i za granicą, jedynie słabe i nierozwinięte miano natenczas wyobrazenie o towarzystwach dobroczynnych lub moralnych. Świężo zaprowadzone w Warszawie bractwa św. Wincentego à Paulo i Jana Bożego, zdawały się być dostatecznymi dla całego kraju, a o zakładanie nowych nikt się ani troszczył. Łatwo więc pojąć jakie trudności spotykał ks. Turczynowicz. Bez funduszków, bez poparcia, bez spółeczenia i uznania ze strony ziomków, szedł przecież z dziwnym wytrwaniem swoją drogą, aż wreszcie wzmocniony poradą ks. Barszcza, swojego spowiednika, tworzy w swém ubogim probostwie św. Stefana męską konfraternię, którą w tymże klasztorze osadza. Zdawało się więc, że już stanął u kresu swoich zyczeń: idea była urzeczywistniona, należało tylko oczekiwać jej owoców.

Wszelako, czy się mężczyźni okazali niezdolnymi do nawracania, czy łatwiej było Żydówką niż Żydom nawracać, czyli też z innych jakich niewiadomych nam przyczyn, dość że miejsce konfraternii męskiej, zajęło wkrótce zgromadzenie żeńskie. W 1737 r. biskup wileński Michał Zienkiewicz potwierdził przepisana dlań przez ks. Turczynowicza regułę, a papież Benedykt XIV nadesłał swoje upoważniające breve.

Tu się dopiero wszystkim oczy otworzyły: oceniono całą doniosłość przedsięwzięcia, ujrano błogie jego owoce i zupełną bezinteresowność tak założyciela, jak i założonego zakładu. Wkrótce też biskupi łucki, żmudzki i inflandzki poszli śladem wileńskiego, i dzięki ich pasterskiemu potwierdzeniu, 16 miast, prócz Wilna, ujrzało w obrębie swoich murów maryawitki. (1) Z wyjątkiem trzech, (w Hołowczynie, Mozyrzu i Stonimie) wszystkie te zgromadzenia musiały i siebie i swoje neofitki utrzymywać z pracy rąk własnych.

Fundator, mający szczególne nabożeństwo do Matki Boskiej, nazwał tę kongregację zgromadzeniem sióstr *Mariae Vitae*, (Życia Maryi) które się w ustach ludu przerobiło na maryawitki. Noszą one habit jednostaj-

ny, popielaty. Prócz nawracania i umacniania w wierze Żydówek, fundator polecił im wychowywanie ubogich sierot. Cel zresztą, przeznaczenie i akt wiary maryawitek, zawarty przezeń został w tych kilku pełnych prostoty i gorącego uczucia słowach, które zalecił im codziennie powtarzać: „Klauzura — w sercu; klasztor — świat cały; cel pracy — nawracanie, nauka i miłosierdzie; plac zabawy — każda żydowska karczma; reguła — kochać Boga i bliźniego; koniec — jeden pasterz i jedna owczarnia; fundusz — w niebie; hasło — imię Panny Maryi.“

Ogólny zarząd nad maryawitkami, tudzież wizytatorstwo wszystkich klasztorów i domów tego zgromadzenia, poruczył najpierwszej i najukochańszej swojej uczenicy, Anieli z Czyżów Potemkinowej.

Gdy pod wpływem tak przyjaznych okoliczności krzewi się i wzrasta to pożyteczne zgromadzenie, gdy z pracy rąk sióstr swoich utrzymuje i uczy z górą 60 uczenic, gdy wreszcie do 400 neofitek nawraca na łono prawdziwego kościoła,—nagle groźne chmury zaćmiły uśmiechający się widnokrąg. Trudno zaiste wyrzec stanowczo kto je nagromadził, kto był motorem tej nikczemnej intrygi, która niczém się usprawiedliwić nie daje? Autorka artykułu, z którego tutaj korzystamy, obwinia Żydów, którzy nie mogąc jakoby sami stawic czoła tak niebezpiecznym judaizmowi maryawitkom, użyli za sprężynę swęj zemsty konwentów żebrzących i mniszek. Pierwsi im zarzucali „że im kwestę tamują,“ drugie „że się na wzór ich (mniszek) odziewają, będąc tylko kongregacją.“

Mniemamy atoli że Żydów niesłusznie autorka do tej intrygi wmieszała. Bo jakż stosunek może zachodzić między tymi ostatnimi a konwentami żebrzącymi, lub co większa, mniszkami? A zresztą, czyżby zazdrość koniecznie potrzebuje jakiegoś bodźca zewnętrzznego? czy interes własny nie ma dosyć sił by stapał samodzielnie, by do rozbudzenia swojego *ja* aż dalekich jakichś pobudek potrzebował?...

Bądź co bądź, konsystorz wileński zapozwał księdza Turczynowicza. „Kto chce psa uderzyć, mówić przysłowie, znajdzie kij“, jakoż znalazł się przeciw niemu i kongregacji zarzutów co niemiara. Zarzucano mu, iż śmiał, wbrew zakazowi soboru trydenckiego, nowy zakon fundować, iż kwestarzem czynił w zbieraniu jałmużn przeszkodę, nareszcie, że jakoby gwałtem ważył się chrzcić Żydówką. Pomimo wymownej obrony księdza Turczynowicza, w najjaśniejszym świetle okazującej jego niewinność, konsystorz nietylko wydał dekret kasujący zgromadzenie maryawitek, lecz samego fundatora cenzurą kościelną obłożył. Apelacya do nuncjatury nie pomogła; maryawitki zostały wygnane ze wszystkich klasztorów. Zasilny to był cios, aby go obojętnie mógł przenieść zany fundator. Otoczony rozpierchłymi swemi uczenicami, błogosławiający i błogosławiony od nich, oddał Bogu ducha w 1773 r. w Mińsku. Ostatniem jego słowem, ostatniem zleceniem, była modlitwa za nieprzyjaciół.

Zdawało się że już nic nie zdoła wskrzesić bogobojnego zgromadzenia. Inaczej wszakże było zapisane w księdze przeznaczeń.

Potemkinowa, postawiona na czele swoich towarzyszek, udaje się po radę do księdza Modzelewskiego, altaryzisty w Stonimie, którego fundator umiarkując mianował swoim następcą i „ojcem“ zgromadzenia, i otrzymuje od niego radę, by się udała do Rzymu, do ojca św., prosząc o zniesienie dekretu kassacyjnego i aprobowanie reguły. Nie namysławiając się długo, pomimo odradzań przyjaciół, pomimo najzupełniejszego braku funduszków, zabiera z sobą cztery towarzyski i, bez znajomości obcych języków, bez listów polecających, o zebranych chlebie, piecho, przybywa do św. stolicy. Po długim oczekiwaniu, otrzymują wreszcie posłuchanie. Ówczesny papież Klemens XIV, przyjął je najłaskawiej i wypytywał o szczegóły, dotyczące ich zgromadzenia. Na podaną sobie prośbę, wydał list czyli breve, 21 marca, 1774 r., do biskupa wileńskiego ks. Massalskiego, któremu zalecił: „izby powracające do ojczyzny łaskawie przyjął, pod swą szczególną wziął opiekę i od wszelkiego bronit prześladowania i krzywdy.“

Jak skwapliwym był powrót tej czcigodnej niewiasty, niosącej tak pożądaną wiadomość, z tego się najlepiej pokazuje, iż dwie jej towarzyski, „znużone podróżą,“ umarły w Niemczech, trzecia w Częstochowie, czwarta zaś w kilka miesięcy po powrocie do kraju. Ze sama przełożona wytrwała, przypisać należy silnemu spotęgowaniu ducha, który się nie dał ciała pokonać, ożywcemu ciepłu idei, która nieraz maluczkich wywyższa, a słabych rozpotężnia.

Lecz jeżeli z jednej strony nasza patniczka tak słusznie miała powody cieszyć się z urzeczywistnienia swoich najgorętszych pragnień, jakże natomiast z drugiej została zasmuconą, znalazłszy siostry rozproszone,

(1) Miasta te i wsie są następujące: Mściśław, Mińsk, Kowno, Stonim, Połock, Orsza, Kroże, Hołowczyn, Witebsk, Grodno, Nowogródek, Wolkowysk, Mozyrz, Pińsk, Cholepniecze i Bobrujsk.

zmarłe, lub zamknięte za klauzurą, do której je zmuszono, klasztory zaś opuszczone, zniszczone, ba nawet jakby na urągawisko Żydom posprzedawane! Zgromadzenia tylko białoruskie były w lepszym stanie, inne „świeciły pustką i zniszczeniem.“ Próżno biskup Massalski starał się je wydrzeć z rąk terazniejszych dziedziów: wszystkie zabiegi namało się przydały.

Wileński jednak klasztor, aczkolwiek „zlupiony i ogolony ze wszystkiego,“ do pierwszych powrócił dziedziczkę, i w nim na przełożeniu osadzoną została siostra Jankowska. Potemkinowa, doczekawszy pomyslniejszego obrotu poruczonych swęj pieczy interesów, wkrótce potem, 1786 r., w Bogu spoczęła. Dodać tu należy, co autorka w swym sprawozdaniu opuściła, iż w 1788 r. biskup Massalski aprobował listem pasterskim to zgromadzenie i upewnił je o dalszej swęj protekcyi. W tymże czasie umarł ksiądz Modzelewski, nie pozostawiając po sobie ani ogólnej przełożonej i wizytatorki, ani duchownego ojca, któryby się maryawilkami opiekował.

Klasztor wileński podczas zamieszek 1794 r. został zniszczony i dopiero staraniem i kosztem Jankowskiej 1798 r. odbudowany.

Widzimy więc że całe to zgromadzenie wyglądało natenczas jak okręt po burzy, a nie było ręki, która by nim pokierować mogła. Jeżeli oplakany był zewnętrzny widok tych klasztorów, niemniej smutne okazywało się ich wnętrze. Powoli wcisnęły się tam rozmaite nadużycia, niesnaski, spory, intrygi. Cieszy się jednak nasza klasztorna dziejopisarka, że żadne zgorzenie nie splamiło tej kongregacyi, która jako żywo nie spuszczała z oka swego pierwotnego celu nawracania Żydówek i wychowywania ubogich dziewcząt.

Wtém przybyła im pomoc ze strony wcale niespodzianej. Metropolita Sierżeniewicz Bohusz zwrócił

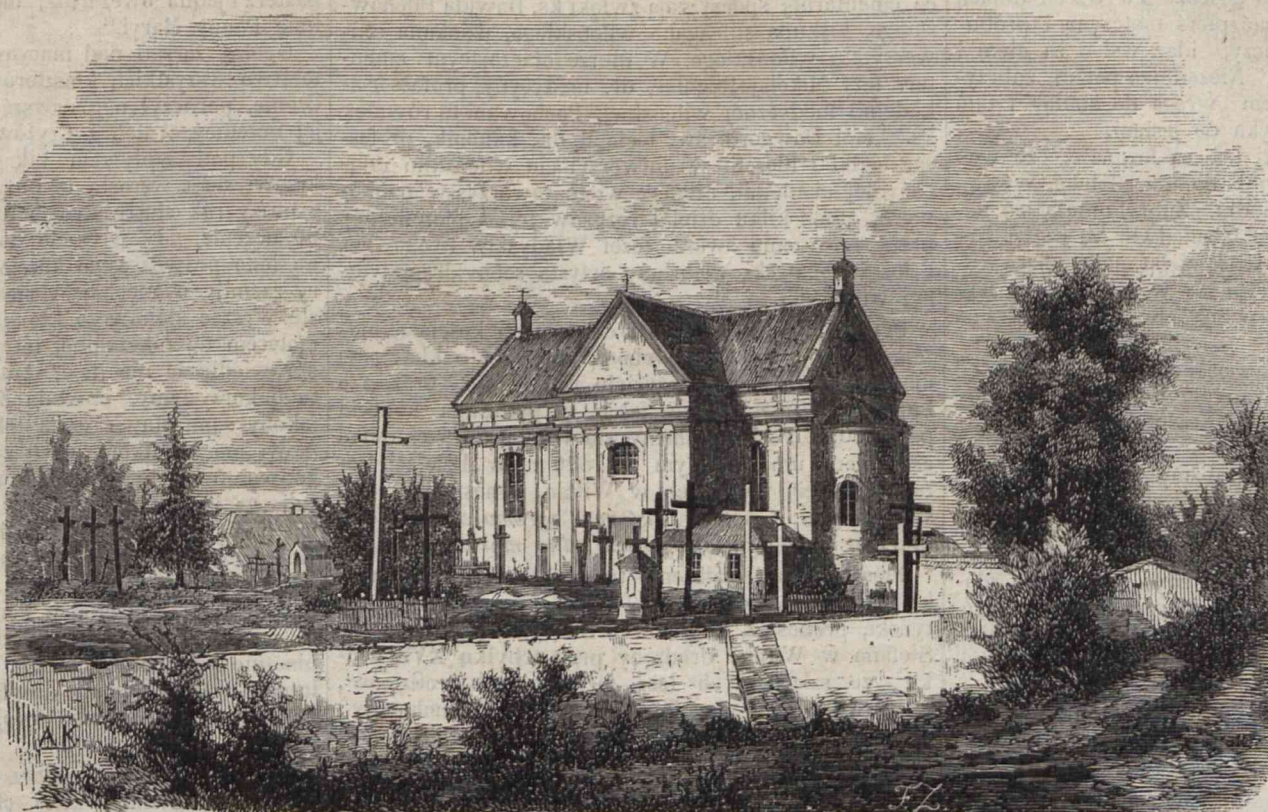
na to zgromadzenie oko i, zaleciwszy swojemu audytorowi księdzu z Zantyr (sic) zwołać do Połocka z każdego klasztoru po dwie siostry, do dawniejszych obowiązków, znacznie ograniczonych ówczesnym ukazem, radził przydać pielęgnowanie chorych i urządzić się na wzór panien miłosiernych, wraz z przyjęciem ich habitu. Chętnie na pierwszą propozycyą przystały maryawitki, drugą zaś odrzuciły stanowczo, oraz

liński osadza je w tym czasie w majątku swoim Romanowie, gdzie hojnie je uposażył i zakład nauczycielski do wyższego podniósł stopnia.

Z rejestru przyłączonego przy cytowanym artykule pokazuje się, że w 1820 r. było na Litwie marjawitek 90, klasztorów lub domów 17, wychowujących się ubogich panienek 465, neofitek utrzymywanych staraniem i kosztem zgromadzenia 13, chorych 15. W ogóle zaś od założenia ochrzciło się więcej niż 2000 Żydów. W wileńskim klasztorze było natenczas 10 sióstr.

Prócz tych wielolicznych zajęć, istniał u marjawitek rodzaj domu poprawy, do którego przyjmowano grzesznice wchodzące na drogę pokuty.

Skręśliwszy z żywą i gorącą wiarą dzieje swęj kongregacyi, kończy bogobojna autorka swój opis słowami Pisma świętego: „Od Pana to się stało, i jest dziwnem w oczach naszych.“ Zaiste, jak się nie dziwić temu poświęceniu bez granic, tej wytrwałości, godnej najwznioślejszych umysłów, temu zaparcu się świata dla wzniosłej idei, służenia ludzkości i krajowi! Nie jestże to jednym z przejawów tej wielkiej prawdy, że nasze niewiasty do największych czynów są zdolne?...



KOŚCIÓŁ ŚW. STEFANA W WILNIE.

obrały swoją ogólną przełożoną i wizytatorką Marcyanę Norwidównę, a ojcem duchownym tegoż samego ks. z Zantyr. Wszystkie te uchwały arcybiskup Sierżeniewicz potwierdził w 1802 r. Odtąd znowu słońce zajrzało w okna tego zgromadzenia, któremu, dzięki staranności przełożonej, z dniem każdym dochodów, sióstr i sławy przybywało.

Ten uśmiech fortuny był nowym żywiołem do podsycecia ich działalności. Jakoż jedenaście lat zaledwo od ustalenia ich losu upłynęło, alisci następne wydały uwiadomienie: „Zgromadzenie sióstr *Mariae Vitae* czyli maryawitek, ma honor prześwietnej publiczności donieść, iż lubo od ustanowienia swego 1737 r. ciągle zajmuje się edukacyą panienek ubogich, odebrawszy atoli rozkaz od swęj przełożonej wizytatorki, odkrywa w tym roku, od 1 listopada, nietylko tu, w N., ale i we wszystkich swoich klasztorach, publiczną szkółkę dla panienek, do której się będą przyjmować bezpłatnie i bez różnicy stanu, religii i wieku i uczyć się czytania, pisania, rachunków i wszelkich robót damskich. Przeto, aby do tej panieńskiej szkółki i rodzice i opiekunowie raczyli po dwakroć na dzień przysyłać swe dziatki, do tutejszego maryawitek klasztoru, przez niniejsze uwiadomienie zapraszają się.“

Jeżeli to bezinteresowne poświęcenie dla dobra ludzkości uszczupliło dochodów zgromadzeniu, przysporzyło im natomiast wielbicieli i sławy. Za tą ostatnią, jak się to zazwyczaj dzieje, posypały się ze wszech stron liczne dary i zapisy, pojawiły się nowe fundacye, zwiększyła się liczba sióstr i uczennic. Biskup łucki ks. Cieciszewski, przyzwał je na Wołyn i osadził w Zdołbicy, wsi Teofili Platerowej. Hrabia

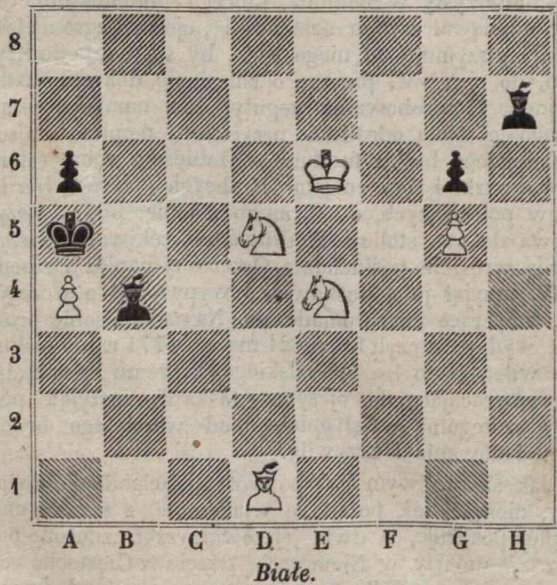
W załączonym w tymże tomie „Dziejów Dobroczynności,“ dodatku do powyższego opisu, z któregośmy również korzystali, mieszczą się następnne dokumenta: 1. List okólny ks. Turczynowicza. 2. Wyjątek z reguł zgromadzenia sióstr maryawitek; 3. List Klementa XIV papięza do biskupa Massalskiego; 4. Instrument urzędowy J. O. Ks. Massalskiego i 5. Dekret reformacyjny rządu metropolity Sierżeniewicza.

Na tém kończymy swój opis, nie chcąc dalszemi szczegółami nadużywać twojej czytelniku cierpliwości.  
Mściław Kamiński.

**SZACHY.**

**ZADANIE CLXVI.**

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.  
Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 165.

- |                      |                   |
|----------------------|-------------------|
| <i>Białe.</i>        | <i>Czarne.</i>    |
| 1) G 4—F 3 . . . . . | 1) F 4—F 3 biorą. |
| 2) C 4—D 2 . . . . . | 2) F 3—F 4.       |
| 3) E 4—E 3 † i mat.  |                   |

**Rozwiązanie zadania szachowego N. 162.**

(Samomat w 7ém posunięciu).

- |                        |                              |
|------------------------|------------------------------|
| <i>Białe.</i>          | <i>Czarne.</i>               |
| 1) B 4—B 8 † . . . . . | 1) E 8—F 7.                  |
| 2) F 3—B 3 † . . . . . | 2) F 6—D 5.                  |
| 3) D 4—H 5 . . . . .   | 3) G 6—H 5 biorą.            |
| 4) A 2—F 2 † . . . . . | 4) H 5—F 3.                  |
| 5) B 3—A 2 . . . . .   | 5) G 7—G 6.                  |
| 6) D 6—E 5 . . . . .   | 6) F 7—E 7.                  |
| 7) A 2—A 7 † . . . . . | 7) D 5—C 7 † podwójny i mat. |

Zajmującej tój i trudnej końcówki, jedno tylko dobre otrzymaliśmy rozwiązanie (od p. Stanisława Rohna w Warszawie); wszystkie inne były fałszywe.

**REBUS.**



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 204.  
Bronią co najsilniej rani, jest złośliwy język.